

Nr. 19. Poznań, dnia 11 Maja 1878. Rok I.

Lech-Czech-Rus.

Powieść historyczna spółczesna.

Napisał

Z. Miłkowski.

(Ciąg dalszy.)

Księżna w rzeczy samej zamieszkała w Genewie, albo raczéj w Genewskim kantonie. Willa, którą na własność nabyla, należała do najpiękniejszych, tak co do architektury, jako też co do urządzenia. Było to mieszkanie obszerne, o piętrze, z pawilonami. Wznosiło się na połowie pochyłości jednego ze wzgórz, ciągnących się łańcuchem niewysokim wzdłuż jeziora po stronie zwanéj sabaudzką, i całym frontem zwracało się ku jezioru. Willa leżała wśród parku rozległego, ogniskującego się około trawnika dosyć obszernego, ujętego w ramy drzew rosochatych, przedstawiających się pod postacią, tu szeregów równych, ówdzie zagajeń cienistych, gdzieindziéj grup rozstrzelonych, zastósowanych do harmonii ogólnéj. Rzecz naturalna, z drzew owocowych nie było tam ani jednego, za to egzotyczne znajdowały się w ilości i jakości, zdolnéj botanika w zachwyt wprawić. Cedry libanu, sosny amerykańskie i olchy australskie mięszały zgodnie na gruncie europejskim szum liści swoich i sąsiadowały z innemi nie mniéj osobliwemi drzewami i krzewami, trawami i kwiatami, stanowiącemi dwór roślinny w odniesieniu do willi, pyszniącéj się kolumnadą i frontonem. Wjazd do niéj znajdował się od ulicy, która zachodziła ze strony przeciwnéj parkowi i oddzielała się od podwórza obszernego żelaznemi sztachetami, szeregującemi się z dwóch stron bramy, strzeżonéj przez dwa sfinksy kamienne. Podwórze było brukowane; w jednym onego kącie bił wodotrysk, otoczony sosnami olbrzymiemi.



Wewnątrz willi, w umeblowaniu, w upiększeniach, panował przepych gustowny, taki sam przepych, o jakim mówiliśmy w jednym z początkowych rozdziałów opowiadania niniejszego. Nie dziw: w willi podgenewskiéj mieszkała niewiasta ta sama, z którąśmy zabrali znajomość w salonie petersburskim.

Jak tam zastaliśmy ją samą, tak i tu samą zastajemy, z tą jeno różnicą, że tam siedziała przy kominku, tu zaś przy otwartych na ścieżaj drzwiach parapetowych — tam patrzała na płomień, tu do patrzenia miała przed sobą wspaniały pejzaż, któremu za ramy służyły góry Juraskie, amfiteatralnie w dalekiéj piętrzące się perspektywie. Ubraną była nie wymyślnie, ale z têm wyrachowaniem pewnéj siebie kokieteryi, co to o najmniejszym nie zapomina szczególe. Nóżkę jedną opierała na poduszce, pełniącéj funkcyą stołeczka, i poruszała nią niekiedy — poruszała, znaczyła takt, który odnosił się zapewne do czystego, dźwięcznego i w wysokim stopniu artystycznego, nie dalekiego, ale też i nie bliskiego na skrzypcach grania. Możnaby powiedzieć, że granie to z sąsiedniéj dochodzi

willi, gdyby willa najbliższa nie leżała więcéj niż o jeden kilometr odległości.

Dzień — poranek raczéj, godzina bowiem była około jedenastéj — był słoneczny i pogodny. Leman rozlegał się, jak olbrzymia szyba zwierciadlana, nosząca na sobie tu i ówdzie ruchome centki i smugi barwy ciemnéj, szaréj i białéj — były to łodzie, parostatki i łabędzie.

Piękna pani błądziła po dalekim widnokręgu okiem, w którém się zaduma przebijała. Spojrzenia jéj muskały powierzchnią wody i szły na góry, na śnieżne szczyty. Nie widać atoli było, ażeby ją te góry i te szczyty zajmowały; niekiedy zdawało się, jakoby uwagę na granie zwracała, lecz chwilowo jeno i, po każdém takiém posłuchaniu muzyki, przez usta jéj przesuwał się uśmiech, nacechowany lekkim cieniem szyderstwa. W stanie tym pozostawała tak długo, aż w dali, na drodze wzdłuż jeziora idącéj, ukazał się powóz spuszczony jednym koniem zaprzężony. Księżna sięgnęła ręką na malutki, perłową macicą misternie inkrustowany stoliczek i wzięła leżące na takowym binokle; skierowała binokle na powóz i odezwała się:

— Aa...

Powóz niebawem skrył się za parkiem; w kilka minut późniéj słyszeć się dał turkot na podwórzu.

W chwilę późniéj lokaj na tacy przyniósł kartę wizytową, na którą księżna zaledwie spojrzała, wnet rzekła:

— Prosić...

Wstała, zwróciła się i, zrobiwszy kroków kilka, podała do uścisku dłoń wchodzącemu bohaterowi naszemu.

Lech, stanąwszy przed nią, wzdrygnął się niby. W oczach jego błyskawicznym sposobem przemknęło zdziwienie. Wnet jednak nad zdziwieniem zapanował, przybierając na oblicze wyraz grzeczności światowéj. Zdziwienie atoli, acz chwilowe, sprawiło to, że w pierwszém przemówieniu wyprzedzić się dał księżnéj.

— Cieszę się mocno i szczerze z odwiedzin pana... — odezwała się tonem uprzejmości wielkiéj.

— Ja zaś — odrzekł Lech natychmiast — cieszę się ze sposobności podziękowania wam, mości księżno, za wolność, któréj obecnie używam...

— Bagatela... — odparła od niechcenia — nie mówmy o tém...

— Pozwól mi jeno słów kilka dodać... — proszącym tonem przemówił młody człowiek.

— Udzielam panu pozwolenia tego... tylko się pan spiesz...

— Dziękuję pani we własném, bardziéj zaś w matki mojéj imieniu... Bez zainterweniowania twego zacna jedna niewiasta pędziłaby dnie życia swego w boleści niewysłowionéj... Dzięki tobie, mościa księżno, odry...

— Dosyć... — przerwała piękna pani pół seryo, rękę ku Lechowi wyciągając. Nadużywasz pan pozwolenia mego... Zamiast słów kilku, wypowiedziałeś kilkanaście, może kilkadziesiąt, dziękując mi za rzecz, w saméj sobie prostą i naturalną... Udało mi się przypadkiem, najwyraźniéj przypadkiem, naprawić jeden z tych błędów rządowych, których, mówiąc nawiasem, rząd nasz popełnia ilość niemałą... Moja, a raczéj księcia, małżonka mego, pozycya dopomogła mi w téj sprawie, która nie naraziła mnie na żadne trudy ani zachody, a wynagrodziła przyjemnością, jakiéj doznałam w poznaniu matki pana, jakiéj doznaję, oglądając pana w samotni mojéj...

— Pani... — zaczął Lech.

— Ani słowa w materyi téj więcéj!..

Wyprostowała się i paluszek do góry podniosła, przybierając dobrotliwie-groźną postawę, z którą przypominała nieco panią Agar w roli Atalii.

— Posłuszny jestem... — odrzekł Lech, ręce składając, pochylając się trochę naprzód i cofając się kroków parę w tył.

— Oto tak to lubię... — powiedziała księżna — pochlebiam sobie, że rozkazy moje nie będą dla pana czczym dźwiękiem...

— O księżno!.. — zaczął.

— I dla doświadczenia władzy mojéj, proszę pana, zbliż się i usiądź obok mnie... W ustroniu tém, z gośćmi mojimi, jestem zupełnie bez ceremonii... Zbliż się więc, usiądź; będziemy mówili... wiesz o czém?..

— Rozkaż, księżno... — odrzekł Lech, zajmując wskazane sobie miejsce.

— Będziemy mówili... o matce pańskiéj... kochasz ją pan?..

— O... — odezwał się młody człowiek, z tym akcentem, co to z serca płynie.

— Nie dziwię się temu, bom i ja ją ukochała... Coś mnie, od pierwszego z nią zejścia się, pociągnęło ku niéj... Musi to być chyba powinowactwo jakieś moralne... Co pan myślisz o tém?..

— To samo, co i wasza książęca mość... — odpowiedział zapytany.

— Zacna kobieta... doskonała kobieta... nie zdarzało mi się spotkać takiéj jak ona, nie wyjmując własnéj mojéj matki...

— Księżno... matka moja tak mało ci jest znaną...

— Mało?.. — podchwyciła. Czy pan myślisz, że do poznania ludzi potrzeba czasu dużo?.. Jeżeli takiém jest zdanie twoje, to się grubo mylisz... Ludzie poznają się od pierwszego spotkania, od jednego niekiedy oka rzutu, zwłaszcza jeżeli pomiędzy niemi zachodzi harmonia w jakim względzie... A — dodała, zwracając na Lecha spojrzenie więcéj niż uprzejme — pomiędzy panią Białoorłowicz a mną zachodzi harmonia we względzie pewnym...

— W jakim, jeżeli zapytać wolno?..

— W tym, że ona nie jest wielką rządu naszego przyjaciółką i ja nie jestem...

Wyznanie to zdziwiło bohatera naszego. Zdziwienie jego nie uszło baczności pięknéj księżny. Rzekła:

— Wątpisz pan o tém; gdybyś jednak był trochę uważniejszym, to byś nie wątpił...

— Wasza książęca mość zarzuca mi nieuwagę, o któréj nic nie wiem...

— Widziałeś mnie pod pomnikiem polskim w Raperschwyl?..

— To byłaś pani?.. — odezwał się. A!.. przypominam sobie... widziałem...

— Aleś nie uważał... Zabsorbował cię na dole pomnik, na górze zaś bardziéj aniżeli pamiątki i ten obraz żywy w stroju polskim, który hrabia Plater powinien był pod klosz ująć i na stole postawić... Pyszny obraz...

Wyśmiewała poczciwego kontuszowca w sposób zabawny a bynajmniéj nie złośliwy, ani ubliżający, tak że Lech mógł do jéj prymu swój wtór dołożyć, uznając za niewła-

ściwy ten toaletowy anachronizm, którego poczciwiec dopuścił się w Zürichu. Z tego punktu wywiązała się rozmowa o próżności polskiéj, jako o ułomności narodowéj. Księżna wyrażała się o niéj z pobłażliwością, podnosząc ułomności innych narodów, mianowicie zaś moskiewskiego i tak zakonkludowała:

— Wolę ja próżność waszą, aniżeli serwilizm nasz... Ułomność wasza urobiła się na drodze historycznéj, nasza urobiła się także na téj drodze, ale wasza jest rezultatem zbytku swobody, nasza zaś zbytku niewoli... W was, panoszących się, czuć potomków narodu, co coś znaczył sam przez się i posiadał znaczenia swego świadomość, w nas widać ostatnie pokolenie pokoleń poprzednich, które znały tylko służbę czynowną i po za nią nic...

Czy mógł Lech zaprzeczyć trafności poglądowi temu? Dla nieubliżenia atoli gospodyni domu, wymienił zalet parę, cechujących moskiewską rasę i uważał za rzecz przyzwoitą zakończyć wizytę. Wstał.

— Co to panu?.. — zapytała księżna wnet.

— Pora na mnie mieć się ku odejściu... — odpowiedział.

— Czy tak panu u mnie źle?..

— O pani!.. uprzejmość twoja zachwyca mnie...

— Ale — podchwyciła — etykieta nie pozwala wizyty, pierwszéj zwłaszcza, przedłużać nad miarę... Wiedz-że pan, żem z etykietą rozbrat wzięła na czas nieograniczony... Chcę być raz przecie sama sobą, nie zaś lalką światową, zobowiązaną w każdéj chwili i na każdém miejscu trzymać się na linewce z ekwilibrycznym etykiety drągiem w rękach... Nie, nie chcę tego!.. — dodała z energią i zapytała: — Gdzie pan mieszkasz?..

Lech wymienił pensyą, na któréj się osiedlił.

-- O dwunastéj jadasz śniadanie... na śniadanie więc chyba się spieszysz?..

— Nie, nie to... ale...

— Owóż to ale w cień wrzućmy — podchwyciła — i pozostańmy ze sobą dłużéj aniżeli na to etykieta pozwala... Konfiskuję pana na całych godzin trzy... zjemy razem śniadanie i po śniadaniu odwiozę pana... Pan fiakrem?.. — zagadnęła.

— Tak pani...

— Fiakra odeszlemy... — odrzekła i, nie czekając na to co gość powie, zadzwoniła, zjawił się służący, dała mu rozkaz odesłania fiakra i zwróciła się do Lecha. — Nie będziemy sami... zasiądzie z nami do stołu ktoś trzeci, człowiek miły, pomysłów pełen, tylko dziwak trochę, ale nie dziw... Z fizyologów, któryś powiedział, że artyzm jest objawem chorobliwości w organizmie człowieczym... Musi być to prawda, albowiem artysta każdy jest dziwakiem trochę...

— Więc to artysta?.. — zapytał bohater nasz.

— Słyszysz pan?.. — odparła, pochylając się lekko w stronę, z któréj melodya płynęła — słyszysz?.. o...

— Słyszę granie przecudne... kryształowe... — mówił Lech powoli. Co to?..

Księżna nie odpowiadała. Postać jéj wyrażała w téj chwili natężenie uwagi, podniesione do stopnia niemego zachwytu. Oczy wzniosła i utkwiła je w niebios błękicie; usta nawpół otworzyła; dech w sobie zaparła; łono jéj podnosiło się lekko i opadało, jakby potok tonów wprawiał je w ruch falisty. Zachwycona zachwycającą się stała, tak że bohater nasz nie wiedział, w chwili téj, co piękniejsze; czy ta muzyka, czy ona. Wcieliła niejako w siebie utwór Chopina, czy też w utwór wcieliła siebie — była nie księżną Gabarin, nie kobietą, ale nokturnem, unoszącem się w powietrzu.

Bohater nasz wpatrzył się w nią — zdawało się mu, że z szezlągu podniesie ją siła tajemnicza i kołysać pocznie na powietrznéj fali.

Muzyk zakończył nokturno i uderzać zaczął smyczkiem po strunach, jakby szukał w nich tonu nowego. Księżna westchnęła, dłonią sobie z lekka po czole i oczach przesunęła i westchnęła.

— Niepospolity muzyk... — rzekł Lech.

— Prawda?.. Niepospolity i, rzecz osobliwa, o niepospolitości własnéj ani wie... Artysta skończony i nic, tylko artysta... nie człowiek...

— Na to się z waszą książęcą mością nie zupełnie zgadzam... — zareplikował bohater nasz. Usposobienia pewne, pewne skłonności, uzdolnienia, jakiemi natura ludzi niektórych obdarza, człowieczeństwa cech z nich nie ścierają...

— Pozbawiają ich tego, co stanowi człowieka normalnego, przeznaczonego na to, ażeby był członkiem społeczeństwa takim, jacy są społeczeństwu potrzebni...

— Muzycy przecież są potrzebni...

— Wyjątkowo...

— I są oni członkami społeczeństwa...

— Podobnymi do tego rodzaju waryatów, których nie zamykają w domu obłąkanych z téj jedynie przyczyny, że są nieszkodliwi...

— Jakże pani artyzm poniża!.. — zawołał Lech.

— Bynajmniéj... — odparła. Muzyka przejmuje mnie do najgłębszych głębin jestestwa mego, artystów atoli wyłączam z ogółu człowieczego: są to istoty, wyższe może od nas, zwyczajnych śmiertelników i dla tego właśnie odrębne;... są to instrumenta przedziwne, zasługujące ua poszanowanie, na uwielbienie, ale z daleka... w perspektywie... w przezroczu... tak — dodała — jak artysta, którego panu przedstawię... Jest to rodzaj obłąkańca... upatruje w muzyce zbawienie ludzkości...

— Orfeusz nowy... — wtrącił Lech.

— Tak coś... nazywa się Czesław Lacki...

— Polak...

— Nie... Czech... Upolowałam go w Pradze i zabrałam ze sobą...

— Czy nie ten to, co waszéj książęcéj mości towarzyszył w Rapperschwylu?..

— Ten sam... Z niemałym trudem namówiłam go, ażeby przyjął gościnność moję... Dał się jednak namówić... Obecnie pracuję nad tém, ażeby wymódz na nim dawanie się słyszeć publicznie, na koncertach... Mam nadzieję, że pan sprzymierzysz się we względzie tym ze mną i dopomożesz mi...

— Z całą gotowością i z sił całych...

— Nie napadaj jednak na niego od razu... Kiedyś przy sposobności, dam panu znak i przypuścimy szturm z dwóch stron...

Rozmowę dalszą przerwało oznajmienie zbliżania się pory śniadaniowéj. Księżna wydaliła się z salonu. W czasie jéj nieobecności wszedł artysta — zatrzymał się na chwilkę nieopodal od progu, zmierzył Lecha spojrzeniem od stóp do głowy, skłonił się mu z daleka w milczeniu i, postąpiwszy kroków kilka, stanął w otwartych na park drzwiach, rozpatrując się w okolicy. Lech z pod oka na niego spoglądał,

a spoglądał z takim akcentem, jakby dopatrzeć chciał w postaci jego owego obłąkania, o którém księżna mówiła. Artysta złożył usta jak do gwizdania i cedził przez nie strumień powietrza, który wyrażał zapewne tony jakieś, przez niego jeno samego słyszane. Lech nie myślał, ażeby to obłąkania oznaką być miało. Oznaczało to tylko, że sobie z Lechem ceremonii nie zadaje, tak samo jak z Rotszildów jeden, o którym podanie głosi, że trzyma usta do gwizdania złożone w obec koronowanych głów nawet, przychodzących czołem jego milionom uderzać. Rotszild przecie za obłąkańca nie uchodzi.

— Sam na sam Lecha z Lackim trwało nie długo. Księżna niebawem powróciła, Lechowi rękę pod ramię wsunęła i do sali jadalnéj gości swoich poprowadziła.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Polskie i czeskie klejnoty koronne.

(Dokończenie).



Z innych zabytków polskich koronacyjnych najstarszą jest włócznia ś. Maurycego, ofiarowana Bolesławowi Wielkiemu przez Ottona III, cesarza rzymsko-niemieckiego. Dziwna to rzecz — przepadły korony, berła, szczérbiec i bardzo drogie klejnoty, a ta włócznia ocalała i znajduje się dotąd w skarbcu katedralnym w Krakowie, zapewne dla tego, że składa się tylko z drzewa i żelaza. Szacowna to zaiste pamiątka: widomy znak władzy nad większą częścią zachodniéj Słowiańszczyzny. Dzierżył tę włocznię niegdyś nasz Wielki Bolesław — jedyny to podobno po nim widomy, autentyczny zabytek. Nie tak się stało ze szczérbcem, nazwanym od wyszczérbienia o bramy Kijowa. Pobożne podanie głosiło, że sam anioł z nieba przyniósł miecz ten Bolesławowi Wielkiemu. Zapewne w związku z szczérbcem pozostaje podanie ludu polskiego, głoszące, że w ziemi polskiéj znajduje się siedm gór, a w jednéj z nich przechowany miecz cudowny. Kto ten miecz znajdzie, tj. kto wskrzesi dawne męztwo przodków a szczególniéj dzielność i roztropność Chrobrego, ten zbawi Polskę. Zaś lud czeski opowiada, że jeden z królów czeskich rzucił z mostu w Pradze swój miecz czarodziejski na dno rzeki Wełtawy. I spoczywa od dawna ów miecz w piasku, ale kiedy się ukaże rycerz od Boga zesłany, aby oswobodził Czechy, wtedy ów miecz sam wypłynie na brzég rzeki, a ów rycerz tym mieczem wypędzi z kraju nieprzyjaciół. I kiedyż Czechy i Polska doczekają się owego wodza, który te dwa bratnie narody uszczęśliwi wolnością?

Podług Łepkowskiego już miał szczérbiec zaginąć po Auguście II, jednakże zdaje się, że Czacki oglądał jeszcze miecz pierwotny. Chodzi pogłoska, że i bolesławowski szczérbiec znajduje się w rękach prywatnych, niestety! nie w polskich. Były nawet rokowania, aby przeszedł w posiadanie polskie, ale podobno nie uwieńczył ich pomyślny skutek.

Skarbiec polski koronny był niegdyś bardzo bogaty, owszem podobno najbogatszy w Europie. Cesarz Otton oprócz włóczni i gwoździa z krzyża Chrystusowego darował Bolesławowi W. złote krzesło tronowe Karóla Wielkiego. Ten zabytek zaginął najprzód, może uwiózł go Brzetysław, książę czeski, gdy 1039 r. złupił Gniezno. Uwagi godne, iż lud wiejski w okolicach Gniezna opowiada o jakiemś krześle złotém, mającém się znajdować na historycznéj wyspie jeziora lennogórskiego. Piszący słyszał to podanie z ust wieśniaka, mieszkającego niedaleko tego jeziora. W aktach akwizgrańskich jest wzmianka o przewiezieniu owego złotego krzesła do Polski. A może je przechowano podczas napaści na owéj wyspie lub wrzucono w jezioro.

Oprócz korony bolesławowskiéj posiadał jeszcze skarbiec polski kilka innych koron, z tych jedna była używana do koronacyi królowych, druga była zwana węgierską, inna pogrzebowa itd. Był też w skarbcu polskim dyament, ważący 95 karatów, oceniony na 500,000 dukatów. Kiedy zniknął? — kto go zabrał? — nie wiadomo. Za czasów Jagiellonów mieścił się skarbiec koronny w trzech sklepach dolnych zamku na Wawelu. Nuncyusz Ruggiery nie mógł się wydziwić bogactwom w złocie i dyamentach, a pewien Francuz pisze, że nad Jagielloński nie było bogatszego skarbca w Europie. Z tych skarbów ledwie okruchy pozostały. „Są to jakoby

cegiełki,“ pisze Łepkowski, „listki kapitelów i marmurów złomki, wyniesione na pamiątkę z gruzów upadłéj świątyni.“

Tu wypada nadmienić coś o herbach Polski. W 18 nr. Lecha na 140 str. jest wierna rycina Orła Piastowskiego i Pogoni Litewskiéj. Kiedy zaczęli Polacy używać za godło białego orła w czerwoném polu? trudno dziś dociec. Zdaje się, że ten zwyczaj przeszedł do Polski z Czech lub Morawy, gdyż Czesi pierwotnie orła za godło używali, a dopiero późniéj lwa za herb narodowy przyjęli i dotąd go używają, zaś Morawa zatrzymała szachowaną orlicę po dziś dzień. O ile wiem pierwszy autentyczny orzeł Piastowski jawi się na pieczęci króla Przemysława. Przedstawiano go zwykle bez berła i jabłka ze złotą na skrzydłach przepaską i w złotéj koronie. Po połączeniu Litwy z Polską połączyły się w jedno herby polski i litewski. Pogoń litewska wyobraża zbrojnego jeźdźca w chełmie, z mieczem w prawéj ręce do cięcia podniesionym, w lewéj zaś z tarczą, na któréj dwa złote krzyże; pod nim koń biały rozpędzony z czerwonym czaprakiem. Pogoń oznaczała pierwotnie osobę panującego księcia litewskiego. Po unii lubelskiéj używali polscy królowie następującego godła: tarcz herbowa dzieliła się na cztery pola, na którym dwa razy był orzeł, a dwa razy pogoń, zaś w środku była mała tarcz, a na niéj prywatny herb panującego króla. Dla objaśnienia podajemy rycinę herbu Polski i Litwy za Zygmunta III. W środku jest herb Wazów. W ostatniém powstaniu 1863 dodano na pieczęciach do orła i pogoni jeszcze ś. Michała Archanioła, jako godło Rusi.

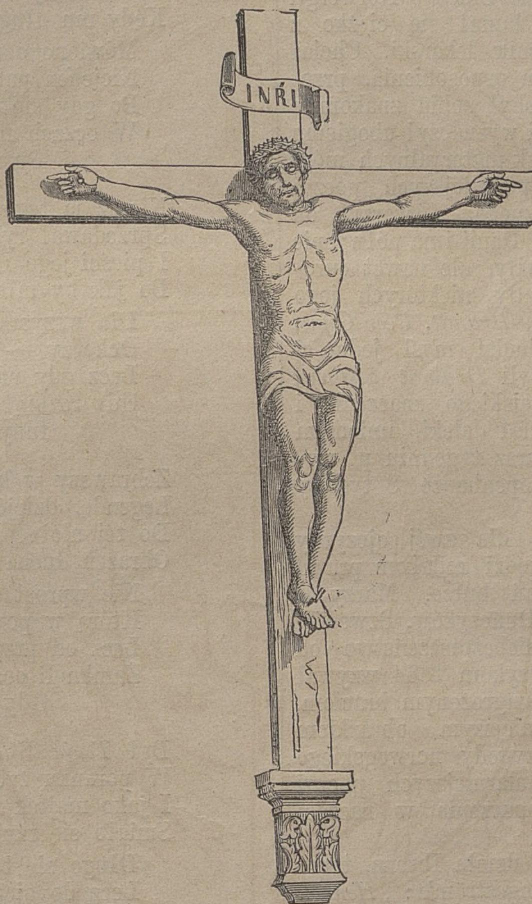
Wypada jeszcze wspomnieć coś o czeskich klejnotach koronnych. Królewskie czeskie berło jest z czystego złota, tak pięknie zdziałane, że bodaj i dziś zdołałby kto lepiéj wykonać. Jest przeszło dwie stopy długie. Na dole znajduje się w otoku 25 pereł, z których każda kosztuje 60 dukatów, potem gdzie się kończy rękojeść jest 24 pereł, a u góry są cztery szafiry, cztery rubiny i kilka wielkich pereł. Szczyt uwieńczony rubinem najczystszéj wody, ważący około 25 karatów. Miecz czeski koronacyjny pochodzi od ś. Wacława. Byli nim wszyscy królowie czescy opasani. Jabłko koronacyjne ozdobione jest wyobrażeniami z pisma ś. starego zakonu, np. widzimy tam namaszczenie Dawida na króla, zabicie Goliata itd. Na pasie środkowym znajdują się 4 rubiny, 4 szafiry i liczne perły. Krzyż u szczytu jest bardzo bogaty. Zdobi go 6 granatów i 7 pereł. Do ozdób koronacyjnych należał jeszcze pierścień, płaszcz, stuła, pończochy i trzewiki. Długi czas chowano w skarbcu czeskim chodaki Przemysława, który jak nasz Piast był z kmiecia królem obrany.

Korona świętowacławska, jako symbol jedności narodowéj ziem czeskich, ma i ztąd dla nas Polaków znaczenie, że polska kraina Ślązk kilka wieków należała do Czech, a i dziś pod względem prawno-historycznym do ziem czeskich się zalicza. Wyraźnie mówimy pod względem prawno-historycznym, gdyż faktycznie większą część Ślązka znajduje się pod panowaniem pruskiém, zaś mniejsza część stanowi osobny kraj koronny austryacki, a pod względem narodowościowym jest Górny Ślązk i część Dolnego polskim, tylko Księstwo Opawskie zamieszkuje ludność czeskomorawska. Zresztą Czesi wcale Polakom Ślązka nie zaprzeczają, czego złożyli wymowny dowód 1848 r. na zjeździe słowiańskim w Pradze, gdzie śląscy posłowie, a między nimi nawet Czech Plucar, zasiadali za zezwoleniem Czechów w sekcyi polskiéj. Widać ztąd, że Czesi są wyrozumiałymi i względnymi dla nas, zatem i my wzajemnością odpłacać się winniśmy.

Wspomniany już kilka razy w niniejszéj rozprawce znakomity archeolog Łepkowski rzucił myśl, aby wydać album chromolitografowane, zawierające nasze koronne pozostałości. Sądzimy, że praktyczniéj byłoby wydać w jedném dziele klejnoty koronne polskie, czeskie i węgierskie, gdyż trudno zaprzeczyć, że trzy te państwa w ścisłym były związku dziejowym, a był czas np. że nasi Jagiellonowie trzy te korony nosili, a prócz tego byłby i popyt większy. Piszący oddawna zamyśla o podobném wydawnictwie — cóż kiedy urzeczywistnienie podobnéj myśli wymaga wielkiego nakładu. Znakomity uczony niemiecki X. Kanonik Bock opisał insygnia koronne niemieckie, ale gdyby nie pomoc cesarza Austryi pewnieby ten opis nie ujrzał światła dziennego. Podobne wydawnictwo niewątpliwie z czasem opłaciłoby się i pod względem materyalnym*). Późniéj podamy w „Lechu“ opis i ryciny klejnotów koronnych węgierskich.

Krucyfiks w Gdańsku.

W Gdańsku znajduje się kościół Panny Maryi, szósty co do wielkości na świecie, zawierający bardzo starożytne i drogocenne pamiątki, jakich podobnych mało w Polsce, a nawet w Europie. Szczególniéj dwa starożytne zabytki w téj starożytnéj świątyni zwracają na siebie uwagę wędrowca, tj. sąd ostateczny, obraz niesłychanéj wartości artystycznéj i krucyfiks, którego rycinę załączamy.



Krucyfiks w Gdańsku.

Wyobrażenie Chrystusa Pana jest tak dokładne, piękne, doskonałe, iż trudno coś doskonalszego wynaleźć. Jest właśnie Zbawiciel w téj chwili przedstawiony, gdy umiera. Widna na twarzy boleść serdeczna, ale niemniéj widna łagodność, a usta, jakby jeszcze powtarzały: „Panie! odpuść im, bo niewiedzą, co czynią.“ Muszkuły, żyły na ciele tak dokładnie wyrzeźbione, że zdaje się, jakobyś na rzeczywistego patrzał człowieka. Jakieś niewysłowione uczucie, jakiś żal serdeczny, jakaś tęsknota, połączona z uczuciem wdzięczności ogarnia cię, gdy spoglądasz na ten wizerunek przedstawiający Syna Bożego. To też liczni wędrowcy oglądają ten piękny krucyfiks, a niejeden bierze ztąd pochop, aby więcéj niż dotąd kochać Jezusa Chrystusa.

Łamano sobie nad tém głowę, jak mógł sztukmistrz tak dokładnie wykonać to arcydzieło sztuki. Ztąd powstało podanie, że ów sztukmistrz ukrzyżował młodzieńca, aby mieć dokładny wzór umierającego człowieka, aby uchwycić ten wyraz boleści w ostatniéj godzinie. Bajka to tylko, która pokazuje, jak pięknie jest ów krucyfiks wyrzeźbionym, kiedy takie wymyślano podanie, aby wytłumaczyć sobie: czemu ów wizerunek jest tak doskonałym. Ów sztukmistrz był zapewne pobożnym człowiekiem, pełnym wiary i miłości Boga, to téż wykonał takie piękne arcydzieło. Samo przez się rozumie,

*) Ktoby chciał brać udział w podobném wydawnictwie lub choć radą posłużyć, niech raczy się zgłosić do redakcyi Lecha. Wydanie takiego dzieła byłoby istotnie patryotycznym czynem. Tak samo prosimy o dopełnienie wiadomości co do polskich klejnotów koronnych. W niejedném piśmie czasowém są ważne w tym względzie wzmianki, dobrzeby było wszystko pozbierać.

że obrazek tu dołączony ani w części nie oddaje tego pięknego krucyfiksu, koniecznie samemu widzieć go trzeba, aby się przekonać o jego wielkiéj wartości.

Kto zatem będzie kiedy w Gdańsku, niech nie omieszka odwiedzić kościoła Panny Maryi, który znajduje się wprawdzie w posiadaniu niekatolików, atoli czyni wrażenie katolickiéj świątyni i posiada niesłychanie ważne pamiątki starożytne.

Henryk Ibsen.

Podając w dzisiejszym numerze Lecha portret Ibsena, sławnego poety skandynawskiego i tłumaczenie jego poematu, dodajemy kilka słów o jego życiu i dziełach.

Ibsen urodził się 1828 r. w mieście Skien w Norwergii z niezamożnych rodziców. Początkowo łamał się ciężko z przeciwieństwami, pracując jako pomocnik lekarski. Chciał być lekarzem, idąc jednakże za popędem usposobienia, przerzucił się w zawód literacki. Wnet zdobył sobie znakomite imię do tego stopnia, że sejm norwegski wyznaczył ubogiemu poecie roczną pensyą, aby wolny od trosk materyalnych mógl swobodnie oddać się poezyi. Oprócz pomniejszych poezyi zwrócił się Ibsen do zawodu dramatycznego. Utworzył on cały szereg dramatów, które nietylko w Danii i na półwyspie skandynawskim wysoko imię jego wsławiły, ale nawet europejską sławę mu zgotowały. Oto tytuły niektórych jego dramatów; *Hermanowie na Helgolandzie, Brandt, Peer Gynt, Pretendenci do Korony*, w którym budzi myśl jedności skandynawskiéj, *Cezar i Galilejczyk*, czyli *Dramat historyi świata* itd. Ostatni utwór jest europejskiego znaczenia i blasku, którego rozgłos na świat popłynął daleki, imieniem Chrystusa natchniony. W pierwszym zaraz tygodniu po wydrukowaniu zakupiono téj książki w Kopenhadze 8 tysięcy egzemplarzy.

Ibsen odznacza się wielką miłością dla swéj ojczyzny Norwegii, lecz z drugiéj strony nie szczędzi rodakom prawd gorzkich, za co liczne posypały się nań burze. Marzy o jedności Skandynawii, nawołuje do niéj Duńczyków, Szwedów i Norwegów, wskazując na grożące niebezpieczeństwo od Niemców. W czasie boju przeciw Duńczykom 1864 wzywał Norwegów i Szwedów, aby szli w pomoc zagrożonym braciom.

Z poezyi pomniejszych najpiękniejszym obrazkiem Ibsena jest *Terje Wiegen*, opisujący przygody norwegskiego majtka. Poemat ten należy do najpopularniejszych poezyi norwegskich, to téż podajemy jego tłumaczenie w naszém piśmie.

Ktoby chciał bliżéj poznać życie i dzieła Ibsena, temu polecamy usilnie piękną pracę W. hr. Engeström'a: *„Henryk Ibsen“* *), z któréj umieściliśmy to krótkie wspomnienie. Dodajemy jeszcze z rzeczonéj pracy następujący ustęp o Ibsenie:

„Jest to postać wyniosła i zajmująca, myśliciel i pisarz niepospolity, jeden z tych przedstawicieli danéj chwili historycznéj, którzy myśl zdrową i prawy kierunek ducha w ojczyźnie uosobiają; jeden z tych ludzi wybitnych, którzy obok talentu, odznaczają się nieocenioną, a dzisiaj tak rzadką zasługą odwagi cywilnéj, siłą woli, charakterem otwartym, miłością prawdy i zdrowego rozsądku opartego na uczciwych zasadach; jeden z tych ludzi, którzy po cierniach idą, o popularność i poklask się nie pytając, nie dla siebie, ale dla kraju z wiarą i przekonaniem uczciwem pracują.

Henryk Ibsen wobec optymistycznego usposobienia poety socyalisty Biörnstierne-Biörsona jest często natury pessymistycznéj. Przedstawia on stronnictwo zachowawcze; występuje energicznie, zwłaszcza w dramatach swoich, nietylko już przeciw wybrykom i nadużyciom przygodnym, lecz staje w ogóle przeciw zachwianiu podstaw społeczeństwa dni naszych, przeciwko szerzącemu się zepsuciu i fałszom, jakiemi w tym wirze namiętności Norwegia podkopuje i zniszczyć może do gruntu ducha i siłę swą narodową, odżywiającą się u źródła zasad społecznych, politycznych i religijnych.

*) Do nabycia w Poznaniu w księgarni J. K. Żupańskiego lub w redakcyi Lecha za 1 markę.

Terje Wiegen.

Powieść Historyczna — Henryka Ibsen.

przełożył z norwegskiego

Wawrzeniec hr. Engeström.

Pośród północnych wysep szeregu
Żył ongi stary — szczególny człek,
W odludnéj wiosce — na samym brzegu,
Kędy mu długi upłynął wiek.
Mówiono o nim, że był szalony, —
Niejeden patrzał nań przerażony,
Bo gdy się czasem na burzę miało
W oczach mu jakoś tak dziwnie drgało
By w morskie gromy się rzucić chciał.

Nieraz ja tego starca widziałem; —
Sprzedawał rybę — spokojnie śnił, —
I pieśni jego nieraz słuchałem
Bo jak by młodzian — wesoły był.
Dla wszystkich miły i żartobliwy —
Ochoczy — wesół — zawsze życzliwy —
Lecz gdy na łódkę skoczył odważnie
Gdy rozpiął żagle — stérował raźnie,
Innym od razu się człekiem zdał.

Zebrawszy w kraju o starym wieści —
Legendę, dziejów z ubiegłych dni, —
Do téj ulotnéj składam powieści,
Obrazek ducha — co pięknem lśni.
Nie wprost od niego rzecz zasłyszałem
Którą w powiastkę moję ubrałem, —
Lecz od przyjaciół co mu przy zgonie
Zamknęli oczy — złożyli dłonie,
Gdy w lat sześćdziesiąt opuszczał świat.

Był *Terje Wiegen*, młokos zuchwały, —
W poranku życia porzucił dom
I jako majtek szukając chwały
Śmiało się rzucał w żywiołów grom!
Długo się tułał po morskiéj fali,
Lecz do ojczyzny zatęsknił z dali
I z kapitanem *Primem* powrócił; —
Ale że dzieckiem swój kraj porzucił
Obcym się znalazł wśród swoich chat.

Wyrósł on raźny — czerstwy i zdrowy
Opatrzon dobrze już nawet był,
Lecz opustoszał mu świat domowy
Zgasł ojciec — matka — o których śnił!
Dzień jeden, drugi, — sierota marzył, —
Ból zaparł w piersi, lecz się nie skarżył, —
Wśród obcych doma, duszno mu było,
Zdala błękitne morze się śniło
W szerokiéj toni — wśród skał i burz!

Ale że młody — wnet pojął żonę, —
— Zawcześnie może jéj podał dłoń —
Bo tęsknem okiem wyglądał w stronę
Gdzie go niebieska wabiła toń!
Pod swoim dachem, marząc o świecie
Przepędzał zimą — mroźne zamiecie —

— Szyby w okienkach się jego lśniły —
Firanki krajne domek zdobiły —
Czerwony domek nad morzem tuż!

Gdy wiatry z wiosną lody rozwiały
Terje na morze się rzucał wraz,
Lecz gdy *Pingwiny* do lotu wstały
Do swojej chaty powracał w czas.
Wonczas mu ciężko na sercu było,
Bo w nim burzliwe serce paliło —
Powracał obcem życiem olśniony —
Tęsknił i marzył południa strony —
Gdy w domu zima — i nocny cień!

Szli towarzysze w rodzinne progi,
Gdzie który swoję chateńkę miał, —
Patrząc za niemi w rozstajne drogi
Terje przed swoją zagrodą stał.
Zajrzał do izby, — w okiennic szparę —
I z za firanek zobaczył — parę —
Żona samotnie przędząc siedziała —
W kołysce dziewka — różowa — biała —
Śmiejąc się mile patrzała weń.

Zmienił się *Terje* od téj godziny, —
Umysł się jego poważnym stał, —
Niezmordowany — dla téj dzieciny
Patrząc w kolebkę pracować chciał.
Więc gdy w niedzielę w gościńcu grano,
W wesołem gronie gdy tańcowano —
Doma u niego, piosenki głosy —
A mała Andzia za ciemne włosy
Targając ojca, śpiewała z nim! —

Tysiąc osiemset dziewiętnastego
Nastał okropny wojenny czas
O którym Saga nam tyle złego,
I tyle chwały zwiastuje wraz!
Krzyżują w brzegach angielskie łodzie; —
Żniwa ubogie — rodziny w głodzie —
Nieszczęsnym ludziom już nędzy znamię
Odjęło ducha i silne ramię —
Śmierć i chorobę gotując im.

Terje w swéj chacie stał zadumany —
W serce mu trwoga zajrzała już —
Ale przyjaciel mu dobrze znany,
Nadzieją krzepi go — fala mórz!
I dzisiaj jeszcze legendą płynie
Pamięć o jego walecznym czynie, —
Jako wśród groźnej wichrów zamieci
Dla żony — dziecka, w przepaście leci
Za chlebem goniąc wśród morskich fal.

Najmniejszą łódkę sobie dobiera
Drogę kieruje w *Skagenu* brzég, —
Maszt pozostawia i żagiel zdziera
Ostróżnie w prądów sterując biég;
Sądzi, że łódka zniesie w podróży
Słaby ładunek wśród morskiéj burzy. —
Zdradny *Jütlandzkich* jest *fiordów* gwar —
Lecz gorszy *Anglik* — ów: „*Man of war!*"
Sokolim okiem patrzący w dal;

Rzucony w morze — oddał się Bogu —
Wiosłem uderzył ze wszystkich sił,
I do *Flandstrandu* dobił się progu
Gdzie dlań ładunek gotowy był.
Trzy tylko sakwy tatarki były
Które składały ten ciężar miły, —
Boć z biednych portów brał swój ładunek
Ale od śmierci był w nim ratunek —
Żonie i dziecku przywoził chléb!

Trzy dni — trzy noce, raźno stérował
Otwartem morzem ten dzielny mąż! —
Czwartego ranka już w brzeg kierował
We mgły osłonie wiosłując wciąż.
Wśród mglistych cieniów czerniały z brzegu
Zębate skały w groźnym szeregu —
A po nad niemi ponuro w górze
Siodło Imnäsa sterczało w chmurze —
— Drogę poznawał w konturach nieb!

Był prawie w domu — dopłynie brzegu,
Nim się z ostatnich wyzuje sił;
Serce mu bije — podwaja biegu —
Już mówiąc paciérz szczęśliwy był;
Wtém nagle w ustach głos mu zamiera...
Czy nie złudzenie?... oczy otwiera —
Wśród mgły zawoju, po wód głębinie
Od *Hörnesundu* korweta płynie —
Niesie ją — niesie, kołysząc prąd!

Zdradzona łódka! — Dano sygnały, —
Zamknięty *Terje* w zatoce stał, - -
Słabe podmuchy z południa wiały,
Zachodnią drogą uchodzić chciał.
W pogoń puszczono z korwety łodzie,
Słyszy już śpiewy majtków na wodzie,
Uderzył wiosłem w spienione fale
Ostatniéj siły próbując w szale —
Zakrwawia ręce — ucieka ztąd.

Göslingen widać skalne szeregi
Na wschód *Homborgu* ściele się *Sund*
Fale złośliwie biją o brzegi, —
Stóp dwie pod wodą — kamienny grunt.
Wre tam i kipi — szumi i pryska
W dzień jasny nawet jakby z ogniska.
Łódź jego spieszy w ten wir szalony
I wnet zaparta w kamienne strony,
O które biją bałwany wód!

Terje Wiegena łódka uchodzi,
Mija iglaste odłamy skał —
Za nim tuż płynie w spuszczonéj łodzi,
Piętnastu majtków — falując w czwał;
Z rozpaczą w sercu — w najwyższéj trwodze
Zawezwał Boga w straszliwéj drodze
Wołając: „Panie! tam w domu żona,
„Biedna, ach! biedna jęczy zgłodzona!
„Dziecię chce chleba i cierpi głód."

Lecz głośniéj wrzeszczy piętnastu z łodzi, —
Jak przy *Lingörnie*, tak było tam,
Szczęście sprzyjało angielskiéj młodzi
Co rabowała *Norwegiją* nam!
Gdy łódź *Terjego* o ląd się wsparła
Zaraz angielska na nią natarła;
Oficer groźnie wiosło podnosi,
Rozbija czołno — zwycięztwo głosi
I gromkim głosem zawołał: „stój!"

Głucho się łodzi deski trzaskały,
Woda je chłonie — rozbija w puch,
W wodę się sypie ładunek mały,
Lecz nie upada w żeglarzu duch!
Jak lew się z wrogiem puszcza w zawody
I za swym skarbem skacze do wody,
Rzuca się — płynie — znów nurka daje —
Lecz łódka wroga w pogoni staje —
Krąży w około i wszczyna bój!

Biorą go jeńcem, dobywszy z wody; —
W korwecie groźny dowódzca stał,

Strojny oficer — lord bardzo młody,
Lat ośmnaście zaledwo miał.
Pierwszém zwycięztwem łódź mu się zdaje,
Więc wraz buńczucznie przed *Terjem* staje,
A on w rozpaczy płacze i prosi,
I na kolanach swe żale wznosi,
Litości błaga u lorda nóg!

Na łzy mu śmiechem odpowiedziano,
Sromem okryto pokory czyn; —
A z brzaskiem dziennym do drogi wstano, —
Wypłynął na morze *Brytanii* syn.
Zmilkł *Terje Wiegen*, gdy się to stało,
Zamknął głęboko co w sercu grało; —
Dziwiło wszystkich że żal zuchwały
I boleść jeńca tak wnet rozwiały
Z chmurnego czoła, powiewy dróg.

Zamknięty w sobie, siedział w niewoli
Jęcząc samotnie pięć długich lat, —
Posiwiał strasznie — i sechł powoli
Najdroższych doma żałując strat.
Łzy i tęsknotę w sobie ukrywał,
Współczucie obcych milczeniem zbywał. —
W roku *czternastym*, wolny z innymi.
Wyszedł z więzienia tęskny za swymi —
Niosą go fale *Norwegskich* mórz!

W ojczystym porcie, nikt go nie witał,
Nie było komu pospieszać doń, —
On też nikogo o nic nie pytał
Rodakom zimną podając dłoń.
Obcym wśród swoich już teraz siedział, —
O żonie — dziecku, wnet się dowiedział
Że głodną śmiercią zmarłe oboje —
W jednéj trumience schowano dwoje
We wspólnym dole cmentarza tuż.

Tu z roku na rok służbę sprawował
W najodleglejszym wybrzeżu skał,
Na morzu, lądzie cicho pracował
I zadumany nad brzegiem stał.
Lecz gdy się czasem na burzę miało,
W oczach mu jakoś tak dziwnie drgało!
Mówiono wtenczas że był szalony —
I każdy patrzał nań zatrwożony
Gdy go w pobliżu przed sobą miał.

Raz o wieczorze ryknęła burza —
Majtek na straży popatrzył w dal —
Tam *Yacht* angielski w morzu się nurza
Z rozdartym żaglem wśród groźnych fal!
Czerwona flaga na maszcie wiała,
Spiesznej pomocy się dopraszała —
Majtek się żwawo rzucił do łodzi
Przerzyna prądy — z boku zachodzi
I w okamgnieniu na *Yachcie* stał!

(Dokończenie nastąpi).

Telefon „Lecha."

Pani D. w Goł. Stósownie do życzenia podajemy ów wierszyk, który 1850 r. powiedział młody Działowski na przedstawieniu teatru amatorskiego w Chełmnie nad Wisłą. Grano wówczas sztukę „Nowy Rok." Podajemy odnośny ustęp z pisma *„Szkoła Narodowa"*, wydawanego przez zasłużonego Gółkowskiego.

„Lecz całéj sztuce nadzwyczajnie wiele uroku dodało wystąpienie młodego Działowskiego chłopca 8 lat liczącego, który ubrany w kontusz i żupan z karabelą, występował jako syn organisty, ubiegającego się o rękę karczmarki. Na rozkaz ojca deklamując z nadzwyczajną śmiałością wiersz:

„Czy wy wiecie kto ja jestem, ja was się nie boję,
Chociaż postać moja mała, wielkiemu dostoję,
Matka Polka, ojciec Polak, we mnie ta krew płynie,
Niech się tu nikt nie przybliża; bo jak mucha zginie!
Widzicie wy tę szabelkę u mojego boku?
I staremu wojakowi dostałbym ja kroku.
Héj zdaleka, bo ja rąbię, kto mi się nawinie,
Niech się tu nikt nie przybliża, bo jak mucha zginie!
Kto nie wierzy w mą odwagę, kto o męztwie wątpi,
Niechaj z jaką zechce bronią przeciw mnie wystąpi,
A co teraz słyszy w słowach, to zobaczy w czynie,
Niech się tylko do mnie zbliży, to jak mucha zginie!"

kiedy donośnym głosem mówiąc te słowa: „Niech się tylko do mnie zbliży, to jak mucha zginie," dobył pałasza i pogroził, wtenczas cały teatr zatrząsł się od niezliczonych oklasków."

Wierszyka tego zapewne niejeden z młodych czytelników Lecha nauczy się na pamięć.

Wiadomości literackie.

Piszą nam z Czech:

Naród nasz czeski poniósł wielką stratę, gdyż niedawno umarł sławny malarz Jarosław Czermak, który dostojnie reprezentował sztukę nietylko czeską, ale i słowiańską w obczyźnie. Urodził się w Pradze 1 Sierpnia 1831., zakończył życie w Paryżu 23 Kwietnia br. Z obrazów jego, odznaczających się artystycznem wykończeniem są najważniejsze: Ranny Czarnogórzec, Husyci pod Naumburgiem i wiele innych. Treść do obrazów brał najchętniéj z życia południowych Słowian. Czermak był szwagrem księcia Jerzego Czartoryskiego.

Towarzystwo czeskosłowiańskich pomocników księgarskich w Pradze wydało niedawno pierwszy rocznik „Słowiańskiego katalogu bibliograficznego" za r. 1877. Bibliografię polską zestawił Jerzy Kotula z Cieszyna. Ważne to wydawnictwo zasługuje i w polskich ziemiach na gorące poparcie.

„Zora", almanach młodzieży morawskiéj, wyszedł raz wtóry i odznacza się dobremi artykułami. Zasługuje na uwagę piękna praca o polsko-ruskim poecie Tymku Padurze przez Wiktora Houdka.

Arnoszt Polabski.

ŁAMIGŁÓWKI.

Ułożyła A. Michałkiewicz z Witowa.

I.

Pierwsze z trzeciem do turniei służy.
Drugie z trzeciem podróżnych nie nuży,
Bo jest gładkie — nie robi przykrości.
Trzecie z pierwszem to zwierzę bez kości.
Zbierz wszystko, a będzie: król mądry i drogi,
Którego przedwcześnie zabrały nam bogi.

II.

Pierwszego proszę szukać w głosek rzędzie.
Pierwsze z trzeciem — to nazwa ptaków będzie.
Drugie, trzecie — własności oznaczenie.
Trzecie zaś samo znaczy zaprzeczenie.
Całość rzecz znana każdemu na świecie,
Łatwo ją w murach i w polu znajdziecie.

III.

Czytaj mnie wspak — tom jest wodą, przeczytaj zaś tak — będę wody mieszkańcem.

IV.

Pierwsze wskazuje, a drugie pyta.
Kto ma kalendarz, snadno wyczyta.

Redaktor i nakładca Józef Chociszewski w Poznaniu. — Czcionkami H. Schmaedicke w Poznaniu.